**Nikuś z Hrubieszowa**

**"Kariera Nikodema Dyzmy" wg Tadeusza Dołęgi-Mostowicza w reż. Piotra Ratajczaka w Teatrze im. W. Horzycy w Toruniu. Pisze Benjamin Pachalski na blogu Kulturalny Cham.**

Polityka tu i polityka tam. Niespodziewanie rzeczywistość społeczna złączyła się z fikcją teatralną. Bowiem niemal równolegle, z biegnącą kampanią wyborczą na urząd Prezydenta naszego kraju i faktycznie z dniem elekcji, odbyła się premiera *Kariery Nikodema Dyzmy* w toruńskim teatrze Horzycy. Niby nic nie znaczący gest, ale jakże wymowny. Śledzenie losów bohatera powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza w realiach naszej współczesności daje nowe szanse spojrzenia na karierowiczostwo, powodzenie i hochsztaplerkę w meandrach władzy. Niby autorzy inscenizacji osadzają akcję w abstrakcyjnej przestrzeni, z nawiązaniami w kostiumie do dwudziestolecia międzywojennego, ale uwspółcześnienie treści przybliża problematykę naszym czasom. Jednak w spektaklu Piotra Ratajczaka jest coś odkrywczego, odmiennego od znanej interpretacji filmowej z wielką rolą Romana Wilhelmiego. Inscenizator, poprzez mistrzowskie prowadzenie postaci przez Arkadiusza Walesiaka, wskazuje, że nie mamy do czynienia z gburem i drobnym cwaniakiem, ale z prowincjuszem, który przypadkiem trafia na salony. Hrubieszowski sznyt staje się marką dla rodzącego się talentu politycznego Nikodema Dyzmy. Niby czarowny fordanser i wykidajło łamaga staje się wytrawnym graczem politycznym. Nie ma w nim rysu grubiaństwa, ale jest właśnie ten szlachetny urok małomiasteczkowości, która staje się frapujący dla socjety sanacyjnej stolicy. W drobnym geście, pozie, minie czy spojrzeniu widzimy rosnący i budujący talent – dorastającego polityka naszych czasów. Takiego co zaczyna od noszenia teczki w młodzieżówce każdej partii i szybko staje się personą o wielkich, pseudo możliwościach, które pisane są przypadkowym szczęściem i odrobiną sprytu.

W spektaklu toruńskim połyskują niedawne fascynacje Piotra Ratajczaka, które zostały już zaprezentowane w warszawskiej Akademii Teatralnej. *Niepodlegli* będący rysem powodzeń i niepowodzeń II Rzeczpospolitej ukazujący mniej i bardziej znane postaci tamtych dni stali się zapewne wzorcem dla opowieści o Dyzmie. Reżyser wykorzystuje zbliżone chwyty inscenizacyjne – układy ruchowe, dwie piosenki, monologi i dialogi. Jak w dobrym, intelektualnym kabarecie. Wspomaga w tym również scenografia. W stolicy były to schody, a mieście Kopernika w tle scenka z kotarą, stoliki knajpiane i czerwone wykończenia. Różnica zasadnicza, że mamy linearną opowieść o człowieku wrzuconym w wir świata ludzi spełnionych – majętnych i wykształconych. Ale przecież nie inteligentnych. I to wykorzystuje bohater, bo przecież nie jest gorszy, ba nawet lepszy – czaruje i dusi, otacza się tymi co coś mogą i coś powiedzą. I zwycięża. Bo wbrew pozorom ma niezły spryt i szczególne coś. Spektakl to dziewięćdziesiąt minut zwartej akcji. Toczy się ona dynamicznie i co ważne nie jest dosadna. W scenach agresji i gwałtu jest metafora i sugestywność, która daje szansę widzowi na zbudowanie własnych wyobrażeń o świecie przemocy i bólu.

Mimo wielu plusów największym grzechem przedstawienia pozostanie jego tekst i próba zbliżenia do naszych czasów. Problem dotyczący skupu zboża został zastąpiony energią słoneczną. I tu pojawia się pułapka. Bowiem kwestia rolna była rzeczywistym zagadnieniem tamtego czasu, a trudno dziś powiedzieć, że tę samą rolę odgrywają panele na dachu każdego domu. To zły trop i nie współgrający z naszą codziennością. A przecież można było pozostać nadal przy problemie rolnym – zawsze na czasie i zawsze aktualny. To zgrzyt, ale nie pomniejsza pozytywnego wydźwięku widowiska. To dobra praca zespołowa, swoisty obrazek społeczny karykatur i indywiduów. Przedstawienie trafiło w dziesiątkę – wyborczego czasu i letniej aury, gdyż ogląda się je z radością godną słonecznej pory roku.

Benjamin Pachalski

kulturalnycham.com.pl